Nr. 28. We Lwowie dnia 10. Lipca 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Z Polski Brandesa.*)

...Jak niezwykłe są w samej rzeczy narodowe zapasy Polaków, ich uporczywa, do ostatniego tchnienia i ostatniej kropli krwi, walka o utrzymanie i rozwój swego języka i swych właściwości narodowych. Ileż męczarni ponoszą dla tego celu Polacy! Każdy z nich wie, iż umrze, ale chce mieć świadomość, że język i naród polski żyć będą i wówczas, gdy on już nic o tem wiedzieć nie będzie. Pragną tego ci, którzy, wierząc w życie przyszłe, nie myślą jednak, iżby poza grobem używać mieli języka polskiego, jak zarówno i ludzie niewierzący, którzy dla swej własnej osoby nie boją się zupełnego unicestwienia, a lękają się nawet myśli o tem, gdy chodzi o cały naród, złożony wszak z osobników śmiertelnych.

Uczucie takie przypomina owo przerażenie, które ogarnia większość ludzi, gdy słyszą po raz pierwszy, że kula ziemska powoli stygnie i kiedyś, w odległej przyszłości lodowa temperatura uniemożliwi na niej wszelkie życie. Wszak wiedzieli oni zawsze, że każdy osobnik ludzki umrzeć musi, ale pragną, aby cały rodzaj ludzki nigdy nie wymarł. To wyobrażenie o zastygłej kuli ziemskiej niweczy wszystkie ich umiłowane illuzję o stałym postępie kulturalnym, ową religją postępu, którą żyje większość tych, co zerwali z wiarą objawioną. Niewielu bowiem tylko zrozumiało, że celem ludzkości nie może być jej koniec lub śmierć, o ile mieć ona jakiś koniec będzie, jeno największy rozwój indywidualnoścl. Gdyby nawet rodzaj ludzki miał kiedyś wymrzeć, nie zmniejsza to jednak wartości prawdziwej kultury, niemniej jednak warto o nią walczyć. Wartość jej nie zależy od tego, czy przetrwa ona wieczność. Czy symfonja trwa krócej lub dłużej, to rzecz mniejszej wagi, chodzi o to, aby była piękną. Wartość jej nie ma nic wspólnego z czasem, który ona wypełnia.

Polacy znają fakta historyczne również dobrze, jak i my, wiedząc że dla niejednego narodu i państwa po epoce rozkwitu przyszła chwila upadku, ale pomimo całego swego rozpaczliwego położenia nie chcą oni wierzyć, że los taki padł teraz na naród i język polski. Chcą oni walczyć o swe życie narodowe, a jakikolwiek będzie rezultat tych usiłowań, przynoszą im one zaszczyt.

Niejeden, rzecz naturalna, nie może opędzić się wątpliwości, czy też uda się im wyzwolić z pod jarzma, opartego o taką potęgę wojenną, czy też uda się kiedyś znowu powołać do życia mocarstwo polskie i zbudować państwo z narodu, który już prawie stulecie nie rządził sam sobą. Natarczywie nasuwa się tu pytanie, które niegdyś (w przedmowie do powieści Cherbulieza p. t. *Ladislas Bolski*) sformułowałem w sposób następujący: Czy Polska jest ideałem czy też rzeczywistością? Nie mogła się ona utrzymać, kiedy miała jeszcze byt niezależny, czy można tedy ją odbudować teraz, po jej upadku? Czy ta Polska, dla której Polacy żyją i idą na śmierć, jest czemś więcej, aniżeli abstrakcją i tworem wyobraźni? Czy cel ich wart jest ofiar? Albo też może właśnie tylko te ofiary nadają celowi jego wartość?

Cel, jak wszelkie cele ziemskie, jest ideałem, t. j. czemś nie-realnem, jest tylko wyobrażeniem pewnego dobra, chociaż ideał Polski ma naturę bardziej wyrazistą i uchwytną — niż inne. Władzy jego nad duszami polskiemi dowodzi siła, z jaką pokolenie po pokoleniu zmusza do poświęcania dóbr materjalnych dla dóbr duchowych Ofiary, króre się na ołtarzu tego ideału składa, nie dowodzą wprawdzie jeszcze jego wartości. Ale ma on wartość wysoką, o ile kształci charaktery i rozwija talenty a niewątpliwie rozbudził już wzniosłe

*) Georg Brandes. „Polen“ 1898. Przekład polski tego dzieła wyjdzie nakładem księgarni H. Altenberga.

myśli, wywołał bohaterskie czyny i zarówno bogatą, jak pełną znaczenia, literaturę. Jest on potężną siłą cywilizacyjną, bo wytwarza dumnych, wolnomyślnych ludzi.

Niezwykłym, zaprawdę, jest widok narodu całego, przejętego takim ideałem, przeciw któremu wszystko się sprzysięgło, narodu zdającego się walczyć z historyczną koniecznością swego upadku. Dążenia Polaków płyną nietylko z instynktu samozachowawczego, ale wywołane są mniej lub więcej świadomem poczuciem tego, że wraz z każdą niknącą społecznością narodową, posiadającą swój wybitnie indywidualny charakter, życie na ziemi staje się uboższem w treść i mniej wielostronnem. Może te usiłowania są daremne, ale upadku Polski nie można utożsamiać z upadkiem Assyrji lub Egiptu w zamierzchłej starożytności, gdyż biorąc rzecz politycznie, wobec Rosji i Prus Polska oznacza wolność, sprawiedliwość, rozum t. j. z jej losem związaną jest kwestja, czy ideały te mają zwyciężyć czy też uledz, czy militaryzm czy też wola ludu mieć mają w chwili obecnej ostatnie słowo w historji świata. Stanowcza śmierć Polski oznacza w zasadzie upadek wolnościowej i wolnomyślnej kultury w Europie. Po Polsce upadałby jeden wolny i niezależny kraj po drugim.

W miarę jednak tego, jak szerzy się kultura wolnościowa, musi również ustawać ucisk który ciąży nad Polską, musi nastać chwila, gdy narodowość polska rozwijać się będzie i żyć życiem własnem. Już sto lat mija, jak Polskę ujarzmiły trzy wielkie mocarstwa, jak służy ona za kowadło dla potężnych młotów, których uderzenia zmiażdżyć jej nie są jednak w stanie. Ale chwila, gdy młoty skruszeją albo zniszczeje kultura , która była niegdyś chlubą zachodniej Europy, jest od nas o wiele bliższą, niż rok rozbioru Polski.

Nie możemy dotrzeć do istoty żadnej rzeczy. Nasze życie jest zjawiskiem, dokoła siebie mamy zjawiska i tylko zjawiska: jesteśmy wzajemnie dla siebie tylko obrazami. Gdy umieramy, obraz nasz pozostaje w świadomości naszych bliźnich, bo też z całej naszej istoty on tylko tam się uprzednio znajdował.

Wiemy również dobrze, że ideały, które za dawnych czasów uznawano za własności pewnych istot nadprzyrodzonych, jako to: najwyższa wolność, najwyższa sprawiedliwość i t. d. są tylko pojęciami, które nigdy i nigdzie nie istniały oraz nigdy w zupełności nie będą urzeczywistnione. Wiemy, że byt ich zależy w zupełności od naszego sposobu myślenia i działania. Istnieją one o tyle, o ile je kochamy. Kochamy je zaś o tyle, o ile dla nich pracujemy.

Najwyższa miłość to cierpienie, które tylko nasza praca i życie dla tego, co miłujemy, uśmierza.

Że zatem całe duchowe życie Polski skupia się dokoła sprawy narodowej, nie jest to rzecz tak marna, jakby się komu zdawać mogło. Historyczny bowiem rozwój stosunków europejskich utożsamił kwestję polską ze sprawą wolności w dziedzinie praw obywatelskich i w sferze duchowej, z prawem narodów do niepodległego bytu. Polska stopiła się w naszem pojęciu w jedno z nadzieją czy też iluzją o postępie kulturalnym naszych czasów. Jej przyszłość łączymy nierozerwalnie z postępem cywilizacji, a zupełny jej upadek oznaczałby w Europie zwycięstwo nowożytnego militarnego barbarzyństwa.

Przełożył *Z. Poznański.*

Tylko epizod.

Z angielskiego oryginału przełożył
Wojciech Szukiewicz.

(Dokończenie.)

Rozdział IV.

Dopadłem Mimsy nim zdołała przejść przez sień. Pociągnąłem ją do pokoju konsultacyjnego — do tego samego pokoju skąd dziś rano posłałem ją w objęcia Harry'ego. Objąłem ją w swe ramiona okrywając jej włosy pocałunkami, gdyż twarz jej była skryta na mych piersiach. Myślałem z uśmiechem o mem rannem postanowieniu.

„Mimsy“, szeptałem, czyż »ty wyjdziesz za mnie i nazawsze będziesz moją, o ty jedyna prawdziwa miłości mego życia? Ty, której każde słowo jest muzyką dla mego ucha, której każdy krok odzywa się w mem sercu radosnem echem. Słuchaj mnie. Walczyłem ze sobą, by się ciebie wyrzec. Obawiałem się prosić cię, byś wiązała swą swieżą młodość z człowiekiem, który mógłby być twym ojcem. Wiedziałem, że Harry kocha cię, i gdym cię dziś rano posyłał do niego czyniłem to z bólem serca, którego przez cały ciąg dnia ukoić nie mogłem. Nie śmiałem przypuszczać, że ty patrzysz na mnie inaczej jak na swego przyjaciela i opiekuna. Teraz gdy wiem, że jest inaczej, nie rozstanę się z tobą dla żadnego żyjącego człowieka. Będziesz moją nieodwołalnie i nieodmiennie, jeżeli tak zechcesz, Mimsy?»

Siadłem w swem ulubionem krześle, z którego codziennie (jak mam nadzieję) czyniłem na

pacientach głębokie wrażenie swą wiedzą i zręcznością. Mimsy zaś znalazła się w mych ramionach, trzymając mnie mocno za rękę.

„Jestem gotowa uczynić to, opiekunciu; ale nie mogę jeszcze oswoić się ze swojem szczęściem. Przyszło ono tak nagle i to właśnie w chwili, kiedy powzięłam sobie mocne postanowienie opuszczenia cię na zawsze«.

„A to było nie ładnie, Mimsy!"

„Pewnie, że nie; ale wtedy ja nie myślałam..."

Rozmawialiśmy tak długo, aż brzęk tacy wnoszonej do salonu przypomniał nam o czemś, o czem zapomnieliśmy.

„Wnoszą kawę", zawołała Mimsy podskakując. „Zapomniałem o Priscilli".

Wstałem i ująłem ją za rękę.

„Chodź, pójdziemy i powiemy jej".

Priscilla siedziała przy kominku z szydełkową robotą. Gdyśmy weszli, spojrzała na nas badawczo, obserwując naprzód mnie potem Mimsy, która trzymając się mocno mej ręki ociągała się nieco; Priscilla przyskoczyła do mnie.

„Janie, czyż to być może?", — zaczęła.

„Tak Priscillo. Mimsy i ja znużeni stosunkiem wychowanicy i opiekuna pragniemy zmienić powinowactwo i stać się sobie nawzajem żoną i mężem".

Priscilla objęła mnie za szyję i jakto czyniła często, gdym był jeszcze chłopcem, wycisnęła na mem czole długi, miłości pełen pocałunek. Potem zwróciła się do Mimsy i chwyciła ją w ramiona „Och, moja droga, jaka ja temu rada!" szeptała ściskając ją; „tego bowiem pragnęłam i modliłam się o to, i teraz urzeczywistni się to. Widziałam Janie, co się z tobą działo, i bałam się, że ust nie otworzysz i obawiałam się, że twe wysokie rycerskie pojęcia będą cię rozdzielać od twego szczęścia, gdy to dziecko cały czas kochało cię, choć nie widziałeś tego, a ja nic mówić nie mogłam, sprawiłeś mi nie jedną chwilę zmartwienia zwłaszcza dziś rano, gdym myślała, że pragniesz, aby ją Harry poślubił. Lecz teraz wszystko się ułożyło — więc napijmy się kawy; potrzebujemy wzmocnić się nieco po tych wzruszeniach".

Rozdział V.

Wczesnym rankiem następnego dnia słyszałem dźwięczny głos Mimsy w ogrodzie:

„Panie Anderson, mój panie,
Gdyśmy się po raz pierwszy poznali".

Wnioskowałem z tego, że odzyskała swe zwykłe usposobienie. Gdym się wkrótce przyłączył do niej, przebiegała od krzaka do krzaka, zbierając róże — dla pokoju konsultacyjnego, mówiła: a potem dodała spoglądając mi w oczy ukradkiem:" Nie będę już więcej nienawidziła pacjentów; będę nawet w stanie poważać ich".

Gdy kosz był już pełny, odezwała się; „Czy nie myślisz mój drogi, że moglibyśmy o wszystkiem powiedzieć Jenkins'owi? Chciałabym go uwiadomić".

Poszliśmy więc ku stajniom, Mimsy raczej tańcząc przy mym boku z odzyskaną wesołością i lekkością serca.

Jenkins był starym żołnierzem. Służył pod dziadkiem Mimsy. Był przy śmierci jej ojca, gdy padł w Indjach porażony przez słońce wkrótce po jej przyjściu na świat. Przywiózł jej matkę do Anglji, a gdy w parę lat potem umarła, przyniósł do mnie to maleństwo jako wierny sługa i niewolnik. Był właśnie w akcie wykręcania skóry, zanurzonej w kubełku wody, gdyśmy się zjawili, a skoro spostrzegł nas, wyprostował się i przyłożył rękę do czapki.

„Wychodzę za mąż Jenkins'ie", powiedziała Mimsy bez żadnego wstępu.

„Tak, oczywiście, panienko", odrzekł Jenkins, »patrząc na mnie badawczo; tak, oczywiwiście".

„Tak Jenkins'ie, i to za najlepszego człowieka w świecie".

„Tak panienko, tak", i znowu spojrzał na mnie.

„Oto stoi przed wami Jenkins'ie; i pomyślcie tylko, że zostanę panią Travers i nigdy nie opuszczę kochanego starego domu".

„Cieszy mnie bardzo, panie, bardzo. Wiedziałem, że panna Miriam czciła ziemię po której pan stąpałeś, i zasługuje pan na to. Wiedziałem też, co pan czuł dla niej. To też istotnie bardzo się cieszę".

„Janku mój drogi,» powiedziała Mimsy, gdyśmy szli na śniadanie," myślałam o mnóstwie rzeczy od wczorajszego dnia, i mam nadzieję, że Priscilla zostanie z nami na zawsze".

„Nie, najdroższa, gdyś poszła spać wczoraj wieczór Priscilla zwierzyła mi się, że chciałaby urzeczywistnić projekt, który dawno miała w głowie. W razie mego małżeństwa postanowiła sobie mieć domek blisko i widywać nas często a jednakże żyć spokojnie i całkiem niezależnie«.

„Ależ, czyż musimy jej na to pozwolić? Ja pragnę tak bardzo zatrzymać ją".

„Wiem o tem, moja mała; ale Priscilla sądzi, że powinnaś tu rządzić niepodzielnie — być w istocie rodzajem królowej. Ona dla ciebie, Mimsy, nie ma nic prócz pochwał i sądzi, że będziesz znakomitą gospodynią. Priscilla jest mądrą kobietą i zdaje mi się, że zrobimy dobrze, ulegając jej".

Zatrzymaliśmy się parę chwil na terasie, dokąd zleciały się gołębie, otaczając Mimsy swym gruchotem, gdy ona tak przemawiała do ogrodu:

»O drogi stary ogrodzie! Wy miłe kwiaty, drzewa, trawiaste ścieżki, cienie i światło słońca! Mówiłam wam do widzenia cały wczorajszy dzień, lecz nie odpowiadałyście. Teraz wiem dlaczego: nie chciałyście, abym ja was opuściła“.

Leon Dembowski.

Moje wspomnienia.

Dwa tomy 1898.

(Dokończenie.)

O pracach nowego Towarzystwa mało znajdujemy we „Wspomnieniach“ wiadomości. Natomiast znajdujemy opowiedziane w sposób ogólnikowy wydarzenia polityczne, wśród których wyrasta szybko Napoleon na olbrzyma.

Rok 1806-my, zarówno jak i poprzednie, zastał Puławy w pląsach. Rozpoczęły się, jak zwykle, bale, fety i teatry, pisze autor, i pamiętam, d. 17-go listopada w najlepsze tańczono, kiedy na złotej sali zjawił się ulubiony przez wszystkich Stanisław ks. Jabłonowski. Po pierwszych z gospodarzem powitaniach wydobył z zanadrza jakiś papier i zaczął go czytać, a gromadka ciekawych zebrała się dokoła. Tańczący także tany rzucili i koło przybyłego zaczęli się kupić. Była to odezwa, wydana przez Dąbrowskiego i Wybickiego. Nie była to radość, boć cieszyć się nie było jeszcze z czego, ale jakieś osłupienie, jakieś zdumienie i jakaś gorączka czynów. O tańcach mowy być więcej nie mogło, bal ustał i każdy udał się do siebie na spoczynek, a właściwie na rozmyślanie nad tą ważną chwilą.

Kiedy d. 20-go listopada przyszła wiadomość, że Francuzi do Warszawy przybyli, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wszystko się z Puław rozleciało. Młodzież cała do Warszawy się przeniosła i jedni do wojska się zaciągali, drudzy do służby cywilnej wstępowali. Wielka świetność Puław tu koniec znalazła i kiedy na św. Adam, d. 24-go grudnia, zjechali się goście, nie było balów, bo nie było młodzieży do tańca. Po tym wypadku nic już nie odciągało uwagi autora „Wspomnień“ od biegu wielkich wydarzeń polityczno-wojennych. Istotnie zajmuje się niemi nieustannie, ale potem, co Wybicki, Koźmian, Skarbek i Krasiński (wydany przez Falkowskiego) powiedzieli, nie wiele we „Wspomnieniach“ znajdujemy godnych zapamiętania szczegółów. Dembowski nie zajmuje się dość uważnie organizacją Wielkopolski, nie widzi przygotowującego się Księstwa warszawskiego, ale wyczerpuje swą uwagę na fakty pobieżne, mające zaledwie anegdotyczną wartość. Niektóre z nich nie są pozbawione humoru, i tak np. Napoleon 28 (?) przybył do Pułtuska i dni następnych przyjął deputację, wysłaną od utworzonej izby administracyjnej płockiej. Kiedy członkowie jej z powozów wysiadali, gwardja, przy kwaterze straż trzymająca, buty im z nóg pościągała. Deputaci w skarpetach i zabłoconych sukniach myśleli udawać się gdzie po jakiekolwiek obuwie, ale adjutant cesarski zastąpił im drogę i rozkazał, żeby się przed cesarza stawili. Próżno tłumaczyli się swoim przymusowym negliżem; odpowiedział im, że wojna i etykieta żadna nie może przeszkadzać do spełnienia obowiązku. Napoleon przyjął ich, śmiejąc się i rzekł: To są skutki wojny i waszych błot przeklętych. Łatwiej sobie dacie radę bez butów, jak moja gwardja, która w waszych bagnach trzewiki pogubiła.. Rzeczywiście, dodaje autor, niezwykły u nas w tej porze stan pogody wywarł na armję francuską wpływ bardzo niekorzystny, popadła ona w jakąś rozpacz i przeklinała Polskę. Cóż to za kraj? mówiono. Trzeba być żabami, żeby tu żyć potrafić. Choroby zaczęły też trapić wojsko i mnóstwo żołnierzy szło do lazaretów.

Konstytucji Księstwa warszawskiego, organizacji władz administracyjnych, kodeksowi Napoleona poświęcił Dembowski mało miejsca. Po tem, co Wybicki i Skarbek dali nam w swych pamiętnikach, wspomnienia Dembowskiego nie przyniosą badaczom owej epoki żadnego pożytku. Dzieje Królestwa Kongresowego (1815—1830) zostały we „Wspomnieniach“ zupełnie pominięte i dopiero od roku 1830 zawiązuje autor przerwaną nić opowieści dziejowej. Nie dowiadujemy się zatem niczego od posła kazimierskiego na sejmach 1818, 1820 i 1825 roku, ani od kasztelana, zasiadającego w tymże charakterze na sejmie w roku 1830.

Wielka szkoda, że Dembowski nie opisał choćby tylko własnego udziału w reprezentancji narodowej i wpływu, jaki starał się wywrzeć na bieg spraw publicznych. Właśnie bowiem epoka od 1815—1830 roku potrzebuje wielu wyjaśnień i uzupełniającego światła. albowiem, jak wiadomo, nawet djarjusze sejmowe drukowane nie są zupełnemi i ulegały puryfikacji i to nawet znacznej, jak np. djarjusz sejmowy z r. 1820.

Tom drugi „Wspomnień“, poświęcony końcowi 1830 i całemu 1831 rokowi, sprawia czytelnikowi istotną niespodziankę. Już pisząc o czasach Księstwa warszawskiego, Dembowski zajmował się za wiele wojskiem i za dużo opowiadał o wyprawach Napoleona, nie szczędząc mu krytyki i rad, które niestety przychodziły za późno, bo po śmierci nowożytnego cezara. O drugim tomie można bez przesady powiedzieć, że Dembow-

ski prawie wyłącznie ma sprawy wojskowe na pieczy, co tem dziwniejsze sprawia na czytelniku wrażenie, że na sprawach wojennych się nie znał, z urzędu swego do nich się nigdy nie mieszał, a z temperamentu nigdy zbytnio do wojny nie uczuwał skłonności i choć mógł bardzo łatwo, nigdy prochu nie wąchał. Sprawom sejmu i rządu w 1831 r. autor poświęcił bardzo pobieżną uwagę, i nawet najważniejsze z nich, jak sprawa uwłaszczenia włościan, odżyła we wspomnieniach Dembowskiego bardzo słabo i niedostatecznie.

Co się tyczy spraw wojennych w 1831-ym r., to literatura nasza posiada pamiętnik Barzykowskiego, który zajmując się wojskowością urzędowo, następnie osobiste wspomnienia uzupełniał poważnemi studjami. Drugie zaś obszerne dzieło L. Mierosławskiego może być uważane za zbiorowy pamiętnik wielu wyższych oficerów wojska polskiego. Autor bowiem na początku nadmienił, że dzieło swe ułożył przeważnie podług ich opowieści, którą starannie zwykł był notować. Wobec tego „Wspomnienia" Dembowskiego nie wzbudzają w czytelniku wielkiego zaufania i mimowoli nasuwa się pytanie każdemu: dlaczego ten niewątpliwie zdolny i wykształcony mąż pominął sprawy pierwszorzędnej doniosłości, na których się znał, a przynajmniej mógł się znać wybornie, a uraczył potomność rozwlekłym opisem wojennej kampanji, krytyką działań wodzów, a więc spraw, na których się nie znał zupełnie? W każdym razie w rzędzie pamiętników, obejmujących dobę Księstwa warszawskiego i Królestwa kongresowego, „Wspomnienia" Dembowskiego zajmować będą jedno z ostatnich i najskromniejszych miejsc.

A. Rembowski.

Lili.

ŻAŁOSNA IDYLLA

przez

Władysława St. Reymonta.

— Lili niema dzisiaj gorsetu! — Szepnął Jańcio cynicznie.

— Łobuz! Dyrektorowo! niech on nie patrzy na mnie! — zawołała, rumieniąc się i osłaniając skrzyżowanemi rękami piersi, bo przez cienkie sukno rysowały się zbyt wyraziście. Korczewska roześmiała się, nie podnosząc oczów z nad kółka, a Gałkowska obejrzała ją przymrużonemi złośliwie oczami i rzuciła pobłażliwie:

— Nigdy nie wychodzi z roli naiwnej! Mascota! — dodała ciszej i urągliwiej.

Lili nie słuchała, okryła ramiona jakąś podartą chustką Korczewskiej i usiadła na koszu. Siedziała czas jakiś w milczeniu, tylko bujała zajadle nogami i biegała oczami po ścianach pokoju, malowanych w ordynarny niebieski deseń, po którym ściekały od sufitu brudno żółte smugi wilgoci, po łóżku, okrytem szydełkową kapą i stosem coraz mniejszych poduszeczek, przez których szydełkowe poszewki przeświecała purpura wsypek; wielki dywan, z różnokolorowych sukiennych kwadratów, wisiał nad łóżkiem i stanowił tło dla obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej i dla kilkunastu fotografji Korczewskiego w różnych rolach, oprawionych w laubzegowe ramki.

— Mieliście radzić, to radźcie, słucham! — zawołała niecierpliwie. — Zakrzewski, chodźno pan! Jakie pan ma włosy! ha! ha! — Śmiała się bijąc piętami w kosz.

Zakrzewski przejrzał się w lusterku i zaczął śpiesznie przygładzać włosy.

— Chodź pan do mnie. Dawaj pan grzebień, prędko!

Zakrzewski usiadł obok niej, a ona, że było jej za wysoko, uklękła na koszu i zaczęła mu czesać włosy, obracając głowę na wszystkie strony.

— Raz... dwa... dobre dzieci... śliczne dzieci... — szepnęła Korczewska pobłażliwie.

— Scena z Wodewilu! Lili dobrze robi naiwną!

— Pilnuj pani lepiej swojego Jańcia, a nie moich ról! — odpowiedziała spokojnie dziewczyna, czesząc dalej.

— Pani się do mnie nie wtrącaj, ja jestem aktorką na stanowisku. Jańciu, przecież jesteś mężczyzną i pozwalasz krowientom ubliżać swojej siostrze

— Jańciu! obroń że od apopleksji żonę swojego brata! — zawołała ze śmiechem Lili — widząc ponsową z irytacji twarz Gałkowskiej, która nic się już nie odezwała, tylko gryzła z wściekłości dżety, jakiemi był przybrany przód okrywki, a Jańcio okrył się takim kłębem dymu, że zniknął w nim cały.

— Panie Leonie, kogo my w tej chwili przypominamy?

— Samsona i Dalilę!

— Czy to ze sztuki jakiej? Musi mi pan w domu opowiedzieć, dobrze? — zapytała słodkim, przeciągłym głosem, dotknęła paluszkiem jego ucha i zajrzała mu tak blizko w oczy, że cofnął się zmieszany i zaczął gwałtownie pokręcać wąsiki.

— Dobrze, opowiem pani! — odpowiedział cicho i starał się uchwycić ją za rękę, ale się szybko wysunęła i pobiegła do psa, śpiącego na krzesełku, którego zaczęła pociągać za uszy i drażnić.

Cisza się zrobiła; Korczewska nieustannie liczyła oczka szydełka, Gałkowska siedziała przy oknie i z jakąś trwogą patrzyła w zaśnieżony świat; wiatr wył za oknami i co chwila rzucał tumany śniegu w szybki brzęczące, targał za drzwi i gwizdał w kominie, aż się wydymała niby żagiel czerwona firanka, jaką był przysłonięty, a pies, drażniony przez Lili, warczał cicho, aż w końcu znudzony zeskoczył na podłogę, przeciągnął się i drapał do drzwi ze skowytem.

— Cicho Murzyn! Pan przyjdzie, to Murzynowi da jeść, cicho piesku, szeptała Korczewska, głaszcząc pieszczotliwie psa, który ułożył się na jej spódnicy i zasnął.

— Dzień dobry komedjanty! To czas niech go drzwi ścisną! Zawołał nizki chudy aktor, mocując się przez chwilę z drzewami, których mu wiatr nie pozwolił zamknąć. Zaczął tupać nogami i otrzepywać się ze śniegu.

— Psi się dzisiaj weselą! Na zakręcie myślałem, że mnie wiatr weźmie, bo mój ibercyerek, tak się wydął, że chwilę jeszcze, a wasz Kos byłby sobie pofrunął szukać angażma w obłokach. A zimno! Zabijał ręce o ramiona po chłopsku i ostrożnie tupał nogami, bo jego cienkie lakierki, pełne łatek i szwów, zaczernionych atramentem, nie pozwalały na energiczniejsze ruchy.

— Dyrektor zaraz przyjdzie! Pani Gałkowskiej sługa i podnóżek! Naszej kochanej, pakownej mamie Korczewskiej — całuję rączki; pięknej Lili — buziaka, a szanownemu dziedzicowi dobrodziejowi, z dubeltówki! co gadał wykonywał natychmiast, z bardzo poważną miną, i z nieruchomą, sinawą, podobną do maski twarzą starego aktora prowincjonalnego, a potem przywarł mocno plecami do pieca i zaczął gwizdać. — Kos dzisiaj gwiżdże już od rana, musiał zrobić dobry interes.

— Lili jest bachor, cicho! Zrobiłem interes, bo zrobiłem molom kawał. Uważcie! Zaglądam do kufrów... a tam po moich sobolach te szelmy spacerują sobie najbezczelniej, jakby to była garderoba, co najmniej naszego kochanego dziedzica dobrodzieja! Czekajże, hołota! Watówkę przybiłem za trzy papierki, a swój ibercyerek letni na grzbiet, no i jestem... Zaczął się śmiać bez przyczyny i rozcierał z zapałem, sine od mrozu uszy.

— Szalkowscy przyjdą? Zapytał Jańcio, ziewając przeciągle.

— O masz ich, idą już i kłócą się, jak zwykle! Zawołał, patrząc w okno, obok którego mignęli jacyś ludzie, głośno rozmawiający.

— Prędzej, prędzej! I zamykajcie te drzwi piekielne! Zakrzyczał Kos, wpuścił Szalkowskich, drzwi zatrzasnął i próbował je nawet zamknąć na klucz.

— Czy przez to ma być cieplej? Zaśmiała się Lili.

Kos puścił drzwi i znowu przywarł do pieca, a przypatrywał się Szalkowskiej która sztywno i ozięble witała się ze wszystkimi, pomijając tylko ostentacyjnie Gałkowską, umyslnie odwróconą do okna.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Szkice i obrazy z nad morza Żółtego.

(Ciąg dalszy.)

Przejdźmy na chwilę od przybytku, w którym się skarbi na przyszłość szczęście w niebie, do przybytku, gdzie się szuka zapomnienia utrapień ziemskich i stara się zdobyć szczęście ziemskie. Jesteśmy w mieście portowem Ning-Po, liczącem przeszło pół miljona mieszkańców- Wchodzimy do kawiarni palaczy opjum we wnętrzu namiotu bambusowego. Pięćdziesięciu chińczyków leżąc spoczywa na podartych i woń straszną zionących piernatach. Obok każdego z tych nędzarzy pali się lampka z oliwą kokosową. Jedni na pół nadzy, lub w łachmanach usnęli już, przewracając się na wznak i przy zamkniętych oczach machają jeszcze rękoma. Inni dokupują jeszcze za parę groszy u chińczyka, utrzymującego zakład, małą paczkę opium soczystego i zielonawego, wielkości pastylka miętowego. Każdy z tych palaczy przybywa tu około 7-ej lub 8-ej wieczorem, a wychodzi, jeśli się obudził, przy blasku wschodzącego słońca. Na samą myśl roskoszy, jakiej doznają przy wypuszczeniu pierwszych kłębów dymu, pośpiesznie zajmują swe miejsca, siadają, zwracają się ku lampce migocącej, wziąwszy w usta długą brudną fajkę bambusową. Na twarzy ich maluje się gorączkowe pragnienie jak najry-

chlejszej roskoszy. Rozgrzewają do czerwoności igiełkę, którą wiercą z drżeniem w fajce, powlekając igiełkę kulką opjum, które się do niej przylepia i składają ją w dziurce ogniska fajki. Następnie kładą i kurzą opjum, zapalając je przy lampce. Po kilku kłębach, wciąganych w piersi gorączkowo, a następnie wypuszczanych przez nozdrza, zaczyna się błogi zachwyt. Oczy palacza przymykają się i roztwierają kolejno, wargi obwisają, pierś się wznosi radośnie i opada z westchnieniem; stopniowo palacz omdlewa i słabnie do bezwładności, w końcu nie jest w stanie rzucić nawet spojrzenia przelotnego, jeno białka oczu wywrócone konwulsyjnie acz z trudem zwracają się ku lampie bladawej. Fajka bambusowa opada z rąk bezwładnych na ziemię, a człowiek porwany halucynacją, leży jak trup, otulony gęstą mgłą dymu z fajek, lamp i wyziewów sąsiadów. Spotkać tam można 18-letnich młodzieńców, wychudłych jak szkielety i wyniszczonych do szpiku użyciem tego narkotyku, na który traci całodzienny zarobek, bez którego nie byłby w stanie przyjąć pokarmów nazajutrz i który pozostawia mu tylko dwa lata życia.

W ten sposób giną tysiące i krocie ludzi a propaganda opjum zatacza coraz szersze kręgi. Rząd chiński w obawie zdegenerowania i utraty ludności wydawał surowe edykta przeciw importowi opjum. Kto je wszakże importował? Anglja, która w obronie wolności tego importu prowadziła dwie zwycięskie wojny z Chinami. Kto ją popierał czynnie? — Francja; kto dyplomatycznie? mocarstwa europejskie, wywieszające sztandar wolności handlu w portach i wnętrzu terytorjów chińskich, a więc te same państwa, które szerzą chrześciaństwo w Chinach i domagają się opieki jednakiej dla chrześcian i swego handlu, czyli ci sami ludzie, którym chińczycy dali miano barbarzyńców.

W stosunkach europejczyków z chińczykami na obszarach państwa Niebieskiego oprócz handlu opjum, zwraca uwagę jednakiej wartości etycznej i ekonomicznej handel niewolnikami, czyli t. z. k u l i s a m i, odbywający się pod banderą paru państw europejskich i amerykańskich.

Kulisy są to ubodzy wyrobnicy chińscy, liczący się na krocie i bodaj miljony w tem 400—500 miljonowem państwie, gdzie produkcja i nędza, bogactwa i klęski obliczają się na skalę miljonów. Przy wielkiej mnogości rzek i kanałów, któremi od wieków pokrajany jest kraj cały, ludność składa się w jednej części ze stałej, w drugiej z pływającej. Dość się przejść raz jeden po ulicach Kantonu, Nankinu, Pekinu i w ogóle jakiegokolwiek miasta, aby dojrzeć, że obok gęsto zaludnionych 6—8 piętrowych domów, stojących na lądzie, — setki i tysiące pływa po kanałach galarów i bark, na których zbudowane są chałupy i szałasy, mieszczące tłumy ubogiej ludności, która się ciśnie tam jak śledzie w beczce. Rodzą się oni tam, żyją i umierają wśród największego niedostatku, głodu, zimna i nędzy. Miesiącami całemi nie zmieniają na sobie odzieży i bielizny; po wierzchu sukni letniej, gdy przyjdzie pora zimowa, wkładają grubsze kaftany z łachmanów. Ogień do gotowania strawy bywa tam tak rzadkiem zjawiskiem jak sama strawa, którą, aby się wyżywić, zdobywają z połowu odpadków jadła, wyrzucanych wraz z pomyjami z domów zamożniejszych. Na hiobowych ciałach tych nędzarzy robactwo ściele swe gniazda i zamienia je w warstwy strupów, przypominające korę drzewną.

Ścisk tu bywa tak wielki jak na stałym lądzie, gdzie wśród tysiąca uliczek niepodobna dostrzedz dziesięciu kroków ziemi, wolnych od ludzi. To też wymiana pracy i mienia jest tu gwałtowniejszą, niż najakimbądź innym punkcie globu. Dopóki pora roku pozwala na zarobki i połów odpadków, żyje się jako tako, a nawet się zagląda niekiedy na ulice rzeźników, gdzie przed ich sklepami pozawieszane są zbite szczury w wiązkach, spłaszczone i urządzone jak nasze półgąski, obok psów jadalnych, których ogony tylko przyozdobiono kitkami sierści żółtej.

Lecz oto ludność zamożniejsza porozjeżdżała się na willegiatury, połów i zarobki znikły, został szmat kaftana na grzbiecie, czyniący nadzieję przetrwania pory niewdzięcznej roku Nędzarz udaje się na sąsiednią wieżę olbrzymią, drewnianą o ośmiu piętrach i dwustupięćdziesięciu stopniach i — wychodzi stamtąd po chwili z monetą w ręku, a bez łachmana na grzbiecie. Wieża ta jest lombardem, domem zastawniczym, instytucją jedną z najdawniejszych w Chinach. Na wszystkich ośmiu piętrach gmachu widnieją tysiące małych pakiecików, opatrzonych etykietami i poukładanych w porządku wzorowym pod silną kontrolą rządu.

Lecz i łachmanów nie stało; głód dokwiera, za nim tyfus, gorączka i cały szereg chorób epidemicznych; w dodatku — wylew letni rzek, sprowadzający gnicie trupów i dalszą epidemję. W ciągu miesiąca — półtora miljona ludzi pada ofiarą śmierci.

Z takich to nędzarzy rekrutują się kulisy, przeznaczeni do handlu. Gdy już nie stanie ostatniego łachmana, kulis oddaje się w ręce agenta, spekulującego dostawą emigrantów na Kubę, do kolonji angielskich lub do respublik amerykańskich i sprzedaje mu się na pewną liczbę lat do pracy. Wzór zawartego kontraktu tak mniej więcej opiewa:

»Zobowiązuję się pracować dwanaście godzin dziennie w ciągu lat ośmiu na rzecz po-

siadacza kontraktu niniejszego i wyrzec się wszelkiej przez ten czas wolności. Mój pan przyrzeka mi utrzymanie i płacę miesięczną w kwocie czterech piastrów (około 7 reńskich) przyodziewek i wypuszczenie na wolność w dniu skończenia kontraktu«.

Naturalnie, jest to najprzyzwoitsza forma kontraktu, legalizującego pracę lat kilku lub kilkunastu. Po za kontraktem, w smutniejszej rzeczywistości zaprzedanie to przedstawia formę o wiele wstrętniejszą. Agent lub pełnomocnik plantatora — z chwilą podpisania kontraktu i wręczenia zadatku chińczykowi — staje się jego bezwzględnym panem i właścicielem w takiej mierze, w jakiej handlarz mięsem jest względem zakupionej przezeń trzody, uważając się za istotnego handlarza mięsem ludzkiem. Wzdłuż wybrzeży chińskich, lub w sąsiednich z Chinami osadach europejskich, dokąd ułatwiona jest emigracja Chińczyków, spotkać można całe ich tłumy, pędzone przez poganiaczy, uzbrojonych biczami, którymi niemiłosiernie smagają ludzkich członków zakupionej w niewolę trzody. Gorszy traktament czeka ją w plantacji ryżu, tytoniu lub bawełny, gdzie plantator staje się panem bezwarunkowym niewolnika, źle go odżywiając, wyzyskując pracę do stopnia wytężenia wszystkich sił człowieka i ekscytując je przez użycie najsurowszych środków kary. Los takiego wychodźcy chińskiego opłakańszym jest od losu niewolników murzynów, używanych ongi w Stanach Zjednoczonych Ameryki lub Brazylji przed zniesieniem niewolnictwa, bo właściciel niewolnika oszczędzał go w swoim własnym interesie, aby jak najdłużej mieć z niego zdrową jednostkę roboczą; tu przeciwnie, plantator wiedząc, iż jest czasowym tylko dzierżawcą czy posiadaczem takiej jednostki, stara się wydobyć z niej i wycisnąć w najkrótszym czasie największą ilość siły roboczej bez względu na wyczerpanie się organizmu, który go nic nie obchodzi, bo zmarłego lub słabego odrzuci, a będzie miał nową jednostkę.

A jednak mimo tak okropnych warunków egzystencji, taki chińczyk-niewolnik, jeśli przedwcześnie nie umarł w niewoli, po ciężkich latach wysiłku, wraca do kraju z zaoszczędzonym groszem, często ze szkatułeczką złota.

Od tych wszakże dobrowolnych niewolników gorszym bywa los zaprzedanych przymusowo w niewolę. Dzieje się to różnemi drogami. Znacznego kontyngentu dostarczają dłużnicy niewypłacalni swym wierzycielom, którzy mając nieograniczone prawo rozrządzania nimi, ściągają swą należytość przez sprzedaż w niewolę. Drugą kategorję dają domy gry hazardowej (wielce rozpowszechnione w Chinach i sąsiednich kolonjach europejskich), występujące w roli wierzycieli względem zgranych chińczyków; trzecią — piraci i rozbójnicy, lub walczące z sobą w prowincjach południowych Chin pokolenia nieprzyjazne, zaprzedające pobranych wzajem jeńców wojennych.

Niekiedy partji zaprzedanej uda się ratować ucieczką tuż po sprzedaży na wybrzeżu a wówczas odbywa się na zbiegów formalna obława i polowanie z bronią. Ajent taki wędrowny często na własne ryzyko kupuje drugą i trzecią kategorję niewolników, płacąc na własną spekulację towar po tysiąc do dwóch tysięcy franków za jednostkę, poczem odsprzedaje ją ajencjom centralnym, urządzonym w miastach portowych z wielkim przepychem i odpowiednią administracją, i ztąd dopiero odsyłany bywa towar żywy do zamorskich plantacji na zupełną własność plantatora. Przedany w tak sposób chińczyk, jeśli straci nadzieję uzyskania wolności lub dorobienia się oszczędności po latach wielu, kończy samobójstwem bądź doraźnem przez rozpłatanie sobie brzucha nożem lub powolnem przez zażywanie opjum.

Zdarza się wszakże, że kulisi przedani na okręt siłą lub podstępem, widząc oddalający się od brzegów ojczystych statek, podnoszą bunt na pokładzie, i cała załoga europejska wraz z ajentami ginie śmiercią sromotną. Niekiedy kapitanowi z załogą udaje się bunt poskromić, a wówczas cały transport niewolników umiera zaduszony na spodzie okrętu.

Podobne sceny powtarzają się po kilka lub kilkanaście razy do roku z różnemi odmianami, z których opisy rzadko kiedy dochodzą do wiadomości Europy. Jeden z takich opisów był publikowany w Hong-Kong'u z powodu rozbicia się statku na pełnem morzu. Kulisy już przy oddalaniu się okrętu od brzegów chińskich zdradzali zaniepokojenie i chęć buntu. Załoga europejska w obawie gorszego wypadku pozamykała ich w kajutach, a na pokładzie po podłodze rozrzucono warstwę szkła potłuczonego, aby takowe raniąc bose nogi kulisów, powstrzymało ich zapędy w razie wydobycia się z kajut.

Mimo to chińczycy wyłamawszy drzwi zamordowali kilkunastu ludzi załogi, resztę powiązali i podusili, a nie mając w gronie swojem umiejętnych żeglarzy, tak źle manewrowali statkiem, że takowy po kilku dniach rozbił się i zginęli wszyscy, oprócz dwóch majtków, którzy ocaleli i opowiedzieli to zdarzenie za powrotem do kraju.

* *
*

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Jan Grzego.

Czcionkami »Drukarni Polskiej« we Lwowie. (Pasaż Hausmana.)